PRAWDA

PISMO FRONTU ODRODZENIA POLSKI

Grudzień 1943

TREŚĆ NUMERU:

Święto pokoju

Wydaje się, że gdzieś daleko za nami pozostały lata, kiedy się żyło swobodnym życiem, swobodnego człowieka. Niewola, jak zmora dusi nasze życie, szalejący terror jak zły pies szczerzy zęby z poza rogu ulic, czai się po bramach, zakrada do domów, węszy po miejscach pracy.

Czerwone plakaty, którymi wróg obwieszcza swą podłość, gonią za nami wszędzie z krzykiem o strasznej krzywdzie naszych sióstr i braci.

Tych czasów nie będziemy mogli i nie będziemy umieli zapomnieć.

Pozostaną one wiecznym świadectwem do czego zdolny jest człowiek wyzuty z moralności i jak wygląda życie będące zaprzeczeniem niezmiennych ideałów Dobra, Prawdy i Piękna.

Okres Bożego Narodzenia, dzień urodzin Tego, który przyszedł na świat, aby świadectwo dać prawdzie, prawdzie o Bogu i prawdzie o człowieku, jest dziś dla nas żałosnym okresem rozmyślań, dlaczego odrzuciliśmy tak lekkomyślnie ten pokój, o którym oznajmili światu 20 wieków temu aniołowie nad stajenką w Betleem?

„Pokój zostawiam wam, pokój swój daję wam, nie jako świat wam daje, Ja wam daję" — powiedział Chrystus. A pokój Jego to nie chwilowe zawieszenie broni, między jedną a drugą wojną, uzyskane zmiażdżeniem przeciwnika i wymuszeniem jego podpisu, lecz pokój prawdziwy gwarantujący wszystkim życie godne człowieka. I nic prócz naszej woli nie stoi na przeszkodzie abyśmy go mogli posiadać.

Aby był jednak trwały, fundamenty jego muszą być założone głęboko w duszach naszych i w urządzeniach społecznych czasów, w których żyjemy.

I oto właśnie jako Front Odrodzenia Polski walczymy.

Błogosławieni pokój czyniący...

Misja pokojowa Zbawiciela rozpoczyna się od pierwszej chwili, gdy zstąpił na ziemię. Skoro tylko bowiem Maryja porodziła Dzieciątko i uwinąwszy w pieluszki położyła w żłobie — wnet cała Judzka kraina rozebrzmiała echem radosnych głosów anielskich: chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!

Pokój! Ludzkość nigdy nie miała go w pełni i nigdy nie przestawała go łaknąć, a zawsze czyniła wszystko, by go zburzyć i podeptać. I dzisiaj, gdy wzbiera wciąż fala zniszczenia, w ogniu i we krwi zatapiając człowieka i wszystko, co ten człowiek na przestrzeni tylu wieków dźwignął, a jednocześnie wzmagają się ze wszech stron zapewnienia po-

kojowe, zowiąc zagładę dziełem odbudowy i utrwalenia pokoju, — umęczony i obłąkany świat nie przestaje pytać: co jest pokój? tak, jak ongiś Piłat zapytywał: co jest prawda? i niestety tak, jak Piłat nie chce słuchać odpowiedzi.

Bo kokój nie jest tam, gdzie go szukają dzisiaj wodzowie i mężowie stanu. Prawdziwy pokój jest wypływem miłości, a nie masz miłości tam, gdzie niema łaski. Gdzie niema łaski, tam panuje grzech: człowiek odwrócony od swego należytego celu zmierza do celu innego, który nie jest właściwy, pożądanie jego nie jest związane zasadniczo prawdziwym, ostatecznym dobrem, lecz tylko z dobrem pozornym. I pokój przeto, który wówczas buduje nie jest pokojem prawdziwym, lecz również pozornym, nie jest bowiem zjednoczeniem, którego może tylko dokonać miłość, jedyna siła jednocząca, a więc według wewnętrznej swej mocy jedyna przyczyna prawdziwego pokoju. Pokój ten, co się na niej nie wspiera, nie jest zjednoczeniem, lecz tylko sztucznym złączeniem, łataniem, które nieraz dla dzieła prawdziwego pokoju wypadnie rozerwać i zniszczyć. I stąd te twarde, zda się słowa Chrystusa: „Nie mniemajcie żebym przyszedł puszczać pokój na ziemię; nie przyszedłem puszczać pokoju, ale miecz" (Mat. X. 34).

Pokój chrześcijański nie ma w sobie nic z gnuśnej bierności i bezruchu z poszukiwaniu wygody i korzyści, z lęku przed wysiłkiem. Zdobywa się go i utrwala w walce, ciężkiej i żmudnej, a walczy się o niego orężem miłości. Gdzie wygnano z serc miłość, zastępując ją namiastką humanitaryzmu, tam zniknął pokój, ustępując przed pacyfizmem, niezdolnym oprzeć się złu.

Nie z takim pokojem przyszedł Chrystus: Rex pacificus, princeps pacifer, princeps pacis — Król przynoszący pokój, książę niosący pokój, książę pokoju — jak go sławi Kościół w swej liturgii: Pokój zostawuję wam, pokój mój daję wam, nie jako daje świat, ja wam daję. (Jan XIV, 27).

Utwierdzanie tego bożego pokoju i w sobie i pośród innych, okazuje, iż człowiek jest naśladowcą Boga, który jest Bogiem jedności i pokoju i dlatego jako nagroda dana mu jest chwała synostwa bożego, które polega na doskonałym zjednoczeniu z Bogiem: „Błogosławieni pokój czyniący, albowiem nazwani będą synami bożymi" (Mat. V. 9). Doskonałe zjednoczenie z Bogiem osiąga się tu na ziemi przez kontemplację, wspierającą się na najwyższym ze wszystkich darów darze mądrości. To też błogosławieństwo dla czyniących pokój, jest koroną błogosławieństw.

Silni posiadaniem tej prawdy, miłością zbrojni, w niej utwierdzeni i wkorzenieni, możemy nie obawiać się niczego w walce o prawdziwy pokój, choćby wypadało za niego płacić wielką cenę. „To wam powiedziałem abyście we mnie pokój mieli. Na świecie ucisk mieć będziecie, ale ufajcie: jam zwyciężył świat" (Jan XVI, 33).

Zamiast wstępu

„Są dwa rodzaje ludzi, którzy nadają kształt życiu.

Jeden to zaborca. Wierzy ponad wszystko w siłę, gromadzi ją w swych rękach, toruje sobie nią drogę. W czasach barbarzyństwa była to siła pięści, umiejętność władania oszczepem i młotem. Dzisiaj może to być siła rozumu specjalnie ćwiczonego dla celów podboju, siła pieniędzy, skoro one są wykładnikiem potęgi władającej rzeczami i ludźmi, siła wreszcie organizacji tworzonej dla powiększania zdobyczy. Celem zdobywania nie jest tylko materialne użycie, chyba na najniższych stopniach rozwoju: wartość użytkowa zdobywanych rzeczy obchodzi go mniej niż ich posiadanie; dlatego prawo własności czci jako święte. Rzeczy zdobywa, żeby je posiadać, ludzi, żeby nad nimi panować. Potrafi być w życiu ascetą, nie przestając być drapieżnikiem. Zdolność zdobywczą innych ludzi uznaje o tyle, o ile ona powiększa jego własną siłę. W wielkiej skali życia narodowego szuka przede wszystkim sposobów powiększenia materialnej wielkości państwa, stawiając ten cel ponad środki nie zawsze godziwe.

Kocha się też w wojnie, twierdząc, że nic jak ona nie wyzwala energii narodu, i nie dbając o to, że jest to głównie energia zniszczenia.

Drugi — to twórca. On to przez całe dzieje ludzkości przezwyciężał i oswajał siły przyrody, on był pierwszym rolnikiem, twórcą rzemiosł, niezmordowanym poszukiwaczem form życia, umożliwiających istnienie słabym. Szukał zbliżenia z innymi ludźmi, nie dla wspólnych zdobyczy, ale dla

obrony przed przemocą, albo dla zbiorowej twórczości był małym, ale czuł się zawsze cząstką olbrzymiej powszechności, gromady takich jak on.

Miłował pokój, gwałt wojny bowiem przeszkadzał mu tworzyć. Czcił nadewszystko pracę i szukał praw, które by ją chroniły. Odpowiednikiem pierwszego w świecie zwierzęcym był lew, o ile nie był nim szakal. Drugi żył, pracował i tworzył jak pszczoła. Pierwszego ideałem była walka; zwykle twierdził, że toczy ją dla chwały, choć w istocie rzeczy toczył ją przez instynkt, albo dla osobistych korzyści. Ideałem drugiego była sprawiedliwość, bez niej nie mógłby działać".

(Stanisław Thugutt, Spółdzielczość, Warszawa, 1937).

Warunki współpracy klas

O tym, że byłoby lepiej, gdyby poszczególne warstwy społeczne współpracowały z sobą, a nie zużywały swej energii w walce, nie trzeba nikogo przekonywać.

Nawet marksiści widząc w walce klas zasadniczy motor rozwoju społecznego, w społeczeństwie bezklasowym upatrują jego syntezę.

Ze strony Kościoła padały w tej sprawie niejednokrotnie ważkie i autorytatywne wyjaśnienia i to nie tylko w czasach Ojców Kościoła, u których problematyka społeczna zajmuje wybitne, o ile nie pierwsze miejsce w ich pismach, ale również i w czasach obecnych, dość wspomnieć „Rerum Novarum" czy „Quadragesimo Anno".

W Polsce, poza nielicznymi wyjątkami, nie wyciągnięto z nich dotychczas praktycznych konsekwencji, ograniczając się raczej do ogólnych deklaracji nawołujących walczące z sobą klasy do miłości chrześcijańskiej, do zawarcia choćby pewnego rozejmu czy zawieszenia broni.

Nie zdawano sobie dostatecznie jasno sprawy z tego, że współpraca klas wymaga pewnych warunków, że są takie ustroje społeczne, takie stosunki gospodarcze, w których się rozwinąć nie może.

Nie przeceniając roli czynników materialnych, liczyć się jednak trzeba w większym stopniu, niż się to niektórym bujającym w obłokach idealistom wydaje, z realnymi, obiektywnymi stosunkami gospodarczymi czy społecznymi.

Trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że realizacja miłości chrześcijańskiej w życiu społecznym — to pewne konkretne instytucje społeczne i urządzenia społeczne, to taki a nie inny podział dochodu społecznego, to taki a nie inny podział własności, to taki, a nie inny ustrój społeczny i gospodarczy.

Słynną zasadę życia moralnego „Kochaj i rób co chcesz", zbyt długo rozumiano jako deklamację o miłości i pobłażliwość dla egoizmu indywidualnego czy grupowego.

Jeśli w oświadczeniach Stolicy św., z natury ogólnych, bo skierowanych przecież do całego świata, tyle jest konkretnych wskazań (dość wspomnieć orędzie wigilijne o krucjacie społecznej), to o ile bardziej obowiązek konkretyzowania ciąży na katolikach świeckich, żyjących i działających w określonych warunkach społecznych i gospodarczych.

Praca zaś nad uświęceniem jednostki, pożyteczna i niezbędna, nie może zwalniać od obowiązku stworzenia takich warunków, w których w całym społeczeństwie zakwitnąć będą mogły cnoty chrześcijańskie.

Są trzy warunki konieczne (choć niewystarczające, wbrew temu, co twierdzą materialiści), bez których nie można nawet mówić poważnie o współpracy klas, a cóż dopiero działać w tym kierunku. Są nimi: sprawiedliwy podział dochodu społecznego, rozsądny układ własności, i demokracja gospodarcza. O każdym z nich słów kilka.

Jak bardzo był niesprawiedliwy podział dochodu społecznego w Polsce świadczą najlepiej liczby.

Wynika z nich jasno, że większość ludności zwłaszcza wiejskiej nie dojadała, ubierała się niedostatecznie, gnieździła się w norach, pozbawiona była opieki lekarskiej itp., jednym słowem żyła poniżej poziomu, godnego człowieka, do którego każdy z tytułu swej ludzkiej godności ma prawo.

Zmiany w dochodzie społecznym dokonane być muszą siłą. Zbyt daleko w praktyce życia gospodarczego odbiegliśmy od zasad chrześcijańskich, aby apel sumienia warstw posiadających mógł mieć jakiś skutek.

Z tych samych względów wykonanie tych zmian nie można powierzyć jednostkom czy grupom społecznym, musi tego dokonać instytucja nadrzędna — państwo.

Zmiany w dochodzie społecznym, pójdą nie w kierunku zrównania, lecz muszą mieć na celu równomierność w zaspakajaniu potrzeb.

Teoretycy liberalizmu wysuwają zastrzeżenia, że jest to kryterium płynne, nieokreślone.

Być może, że w krajach bogatych, w Belgii, Danii, czy USA ocena tych potrzeb może być trudna. Można się bowiem spierać, czy samochód, suknię wieczorową lub elektryczny odkurzacz uznać za artykuł pierwszej potrzeby. Ale w Polsce, gdzie nawet minimum biologicznych i kulturalnych potrzeb nie jest jeszcze zaspokojone, wyglądają te zastrzeżenia na kpiny ze zdrowego rozsądku.

W praktyce zasada równomierności pociągnie za sobą konieczność reglamentowania obrotu artykułami pierwszej potrzeby, obniżenie stopy życia ludności miejskiej, wyrzeczenia się wszystkiego, tego co biologicznie i kulturalnie koniecznym nie jest, ustalenie minimum płac i maximum dochodu itp. zgoła nieprzyjemne rzeczy, ale konieczne, tak jak gorzkie lekarstwo.

Rozsądny układ własności, będący również warunkiem współpracy klas, nie oznacza wcale konieczności upaństwowienia czy uspołecznienia wszystkich środków i narzędzi produkcji.

Chodzi tu bowiem z jednej strony o większe upowszechnienie własności tam gdzie to jest możliwe (ziemia, mały i średni przemysł, budownictwo mieszkalne), z drugiej strony o to, aby równolegle z rozwojem indywidualnych przedsiębiorstw rozwijała się również własność zbiorowa, wspólna o charakterze wytwórczym. Mamy tu na myśli uspółdzielczenie wytwórczości i handlu artykułami pierwszej potrzeby oraz wspólne (spółdzielcze) posiadanie ziemi w miastach i osiedlach podmiejskich.

Przy zagadnieniu własności nie chodzi wcale o to, aby ze wszystkich uczynić posiadaczy własności nieruchomej, bo to jest niemożliwe i niepotrzebne, bo sama instytucja najemnictwa nie ma w sobie nic ubliżającego godności człowieka, ale chodzi przecież o to, aby dochód z własności rozdzielony był możliwie równomiernie.

Demokracja gospodarcza, czyli posiadanie realnego, decydującego wpływu na kształtowanie życia gospodarczego przez ogół zainteresowanych obywateli jest również warunkiem koniecznym współpracy klas.

Rzecz jasna, że nie myślimy tu ani na chwilę o reprezentacji poszczególnych jednostek, ale grup zawodowych.

Aby jednak przedstawiciele poszczególnych zawodów mogli zasiąść przy wspólnym stole obrad na równych prawach muszą istnieć organizacje zawodowe o charakterze powszechnym.

Przynależność do nich musi być obowiązkowa.

W tej Izbie Gospodarczej, czy jak ją nazwiemy, muszą być reprezentowani według odpowiedniego klucza zarówno producenci, pośrednicy, jak i spożywcy.

Próba organizowania takich reprezentacji przez państwo we Włoszech zawiodła na całej linii, korporacje włoskie wyprane doszczętnie ze śladów nawet inicjatywy społecznej pozostały tworem sztucznym.

Samorządność tych organizacji jest warunkiem sine qua non.

Mistyka wojny

Propaganda niemiecka mówi ostatnio często o t. zw. „mistyce wojny". Dla ludzi wychowanych na mitach nie rzeczywistość, ale opar tajemny wywołuje największe wrażenie. Szefowie propagandy niemieckiej dawno już porzucili argumenty — które możnaby nazwać rzeczowymi — ale karmią obywateli III Rzeszy „ersatzem" przeżyć religijnych. Rzecz to zresztą niewątpliwa i zawsze się sprawdzająca: tam gdzie człowiek staje w obliczu niosącego mu zagładę kataklizmu, tam potrzebna mu jest pomoc typu religijnego. Gdy jednak religii nie posiada ucieka się do przesądu.

„Mit wojny" jest typowym przesądem, albo — jakby to powiedział być może Chesterton — „oszalałą cnotą". Niewątpliwie wojna jest zjawiskiem rozwijającym człowieka. Może nawet rozwija go ona głębiej, pełniej i gruntowniej, niż doba pokoju — w tym sensie, że stawia go przed głębszymi przeżyciami. Ale wojna tę swoją siłę kształtująca posiada tylko wtedy, gdy jest przejawem innej, bardziej wewnętrznej walki. Należałoby odwrócić zagadnienie. To nie wojna wytwarza pełniejszego człowieka — jak to dziś usiłują zasugerować moraliści niemieccy — ale idea, przeżywana i reali-

zowana w życiu ludzkim. To nie wojna kształtuje fizjonomię narodu, ale sposób w jaki naród bierze udział w wojnie — wykazuje głębię przeżytej idei.

„Mistyka wojny" jest chwytem propagandowym o skąpym zasięgu. Chcieć wykazać, że sama wytrwałość i wytrzymałość w obliczu niebezpieczeństwa jest już sprawdzianem siły moralnej narodu — to znaczy zapomnieć, że każdy rabuś potrafi także z podziwu godną wytrwałością strzec swego łupu. Zgoda, że wytrwałość i wytrzymałość są żołnierskimi cnotami, nie wyczerpują one jednak wszystkich cnót żołnierskich. Żołnierz nie jest kondotierem, nie walczy tylko po to, aby walczyć, ale ma przed sobą pewien cel. Tym celem będzie niewątpliwie zwycięstwo. Lecz czy każde zwycięstwo? Czy tylko zwycięstwo „aby było"?

Swoistą „mistykę wojny" posiada chrześcijaństwo i dlatego można nazywać niemiecką „mistykę wojny" mianem „oszalałej cnoty". Chrześcijańska „mistyka" — a raczej pocóż ją nazywać mistyką, skoro to jest raczej pewnego rodzaju pełna realizmu postawa — polega na wierze, że Bóg może potrzebować naszego miecza dla swoich celów. Nie twierdzimy jednak, że my — i tylko my — jesteśmy „mieczem Opatrzności". Nie „Gott mit uns", ale — jak to kiedyś rzucił w twarz Niemcowi pewien — dziś nie żyjący — ksiądz lubelski „Wir mit Gott". Ponieważ Bóg może potrzebować naszego miecza, powinniśmy postępować jak najbardziej jasno i szczerze — bez najmniejszej zarozumiałości, oczekując na chwilę wezwania. Żołnierz-chrześcijanin nie wychodzi wojnie naprzeciw. To wojna przychodzi na jego podwórko. Puka groźnie do jego drzwi. Wtedy, gdy wojna stanie się koniecznością nie do odparcia, wtedy staje się wojną Bożą. Wojna powinna być ostatecznością, którą trzeba przyjąć, by się od Boga nie oddalić. Wtedy tylko — mimo okropności — wojna buduje i rozwija człowieka.

Czy może jednak wzbogacić ducha ludzkiego wojna — jeden z chorobliwych przejawów braku miłości w świecie? Przebłyskują tu i ówdzie wprawdzie w tej chmurze promyki: koleżeństwo, przyjaźń, heroizm. Małe to są jednak płomyki i nietrwałe. Człowiek nigdy nie potrafi uciec całkowicie od obowiązku miłości, lecz — jak słusznie ktoś powiedział: „miłość poza chrześcijaństwem jest czymś, co budzi wątpliwości". Pewna ofiara — pewne poświęcenie — dla n a j b l i ż s z e g o kolegi, jakiś poryw bohaterstwa w kręgu spojrzenia łaskawego w pochwały zwierzchnika — nie są jeszcze przejawem wielkiej siły moralnej. To zaledwie tlejące ogniki czegoś, co jeszcze całkiem nie wygasło — a nie iskierka, mogąca zamienić się w pożar. Dziwne to jest naprawdę zjawisko, że w tej resztce, która została po usuniętej przemocą moralności, widzi się wielkość, podczas gdy pod żadnym pozorem nie chce się uznać wielkości w pełnym obrazie życia moralnego.

O „mistyce wojny" takiej, jak ją widzą Niemcy nie byłoby potrzeby mówić — gdyby i u nas ludzie nie ulegali jej złudnemu czarowi. Przypomina się piszącemu pewna książka z doby wczesnego chrześcijaństwa. W niej mały chłopiec pyta się swego opiekuna: co zdobi żołnierza? szabla?, karabin?, koń?, trąbka? Nie — odpowiada opiekun. A więc: odwaga, hart, wytrwałość? Tak, ale to jeszcze nie wszystko. Więc co jeszcze? Miłość Ojczyzny — mówi opiekun. My rozumiemy, że miłość Ojczyzny nie zawiera się tylko w walce o jej granice. Żołnierz musi mieć przed oczami wizję kraju, za który poświęca życie. Bijemy się w tej chwili o P o l s k ę. Ale bijemy się także o P o l s k ę naszych snów.

O współpracy międzynarodowej

I znowu świat został podzielony na sfery interesów, i znowu będziemy musieli dowodzić wszędzie, że my Polacy też jesteśmy ludźmi, którzy mają prawo urządzać swe życie po swojemu.

Wynik konferencji w Kairze i Teheranie wydaje się świadczyć o tym, że wojna jeszcze nie wszystkich nauczyła rozumu. Trudno, znamy aż nadto dobrze z własnych przeżyć wewnętrznych, jak bardzo ciężko okiełznać miłość własną, która do zachcianek i kaprysów jednostek czy narodów umie dorobić całą prawdziwą na pozór, a kłamliwą w istocie ideologię.

Nie po raz pierwszy bowiem, choć może już ostatni, podejmujemy jako naród i jako państwo walkę o uznanie naszej tezy: „wolni z wolnymi, równi z równymi".

Tezie tej byliśmy wierni, nie tylko wtedy gdy byliśmy słabi, czy w niewoli, ale i wtedy gdyśmy byli mocarstwem Jagiellonów, z którym Anglia państwo wówczas na dorobku, podejmowała zaszczytne dla niej pierwsze rokowania handlowe.

Nic tak skutecznie nie łamie uprzedzeń i pychy wobec innych narodów, jak bliższe ich zetknięcie i poznanie. Dlatego zaraz po wojnie musimy wykrzesać z siebie więcej zrozumienia dla wszelkich zbliżeń międzynarodowych.

Opowiadania o masonach, międzynarodówkach itp. rzeczach, którymi usypialiśmy sumienie zaniepokojone naszym lenistwem, muszą ustąpić miejsca poszukiwaniom różnych stołów, naukowych, gospodarczych, artystycznych i wszystkich innych, przy których moglibyśmy z przedstawicielami różnych narodów zasiąść na równych prawach.

A jeśli tych równych praw nie będzie?

Ha, trudno, wrócimy wtedy na stary nasz szlak organizowania państw i narodów mniejszych, dla złamania wspólnymi siłami monopolu silniejszych. I na propozycję pozostania najmniejszym, ostatnim mocarstwem, w gronie „wielkiej trójki czy czwórki", która narzuca swą wolę światu, mamy zawsze dumną odpowiedź, że wolimy być zawsze pierwszym z tych małych państw i wraz z nimi walczyć o równe prawa dla wszystkich państw i narodów. Bez tego nie ma pokoju.



Komunikat Redakcji

Z DNIEM 1-GO GRUDNIA „PRAWDA DNIA" BĘDZIE SIĘ UKAZYWAĆ JAKO ODDZIELNY DWUTYGODNIK.

NUMER NASTĘPNY ZAMIERZAMY POŚWIĘCIĆ TRADYCJI I POSTĘPOWI W ŻYCIU SPOŁECZNYM.

KWITUJEMY:

NA PRASĘ: Most — 5.500, Ktoś — 2.000, Ktoś II — 500, Róża — 1000, Ksiądz — 50, Prof. — 200, Ma — 60, Dni — 50, A. N. — 20, Hala — 600, A. i J. — 20, Gracze — 21 + 40, Oko — 20, G. — 100.

NA SAMOPOMOC SPOŁECZNĄ: Brzoza — 1.000, Raf. — 5.000, Ma — 50, Med. — 300, Wysz. — 200, G. — 100, Łoś — 100, Łoś (zagubiony kwit).

NA FUNDUSZ GEN. SIKORSKIEGO: Wanda i Zofia — 10.000, G. — 100, Bezimiennie — 300, Oko — 20.